

Christoph Ransmayr

Atlas lęklivego mężczyzny

Przełożył Jacek St. Buras

KAZNODZIEJA

Widziałem oburzonego mężczyznę, kaznodzieję, który z uniesionymi rękami kroczył po błotnistym boisku największego stadionu piłkarskiego Polskiej Republiki Ludowej:

– Hańba – krzyczał mężczyzna – co za hańba robić tutaj interesy! Szachrować w miejscu poświęconym pamięci poległych bohaterów! Jezus, Syn Boży, przegnał biczem przekupniów i lichwiarzy ze świątyni w Jerozolimie, i tak, dokładnie tak trzeba przegnać ze stadionu tę hołotę, która kupczy tu tą swoją tandetą, tą całą kontrabandą, a nawet towarem z kradzieży! Precz, precz! Wszyscy precz!

Akurat jakiś lalkarz z Armenii, jeden z niezliczonych handlarzy, którzy tego deszczowego kwietniowego dnia obsługiwali na warszawskim Stadionie Dziesięciolecia klientelę tysięcy straganów i bud, demonstrował mi ruchliwość marionetki przedstawiającej żołnierza w ubraniu ochronnym, kiedy kaznodzieja pojawił się w okolicy bramy zarośniętej suchą trawą i pokrzywami. Wyjął zza pasa kij długości trzonka siekiery lub młotka, do którego przytwierdzone były plecione sznury czy skórzane rzemyki – rzeczywiście bicz, którym zaczął wymachiwać nad głową. Ale pośród wielogłosowego, wielojęzycznego ścisku w płataninie uliczek tego miasteczka bud, które rozciągało się aż po najwyższe, porośnięte krzakami i zasnuite welonami deszczu rzędy stadionu, prawie nikt nie zwrócił uwagi na krzykacza. A ten też tylko wywijał swoim biczem, machał, głośił, przeklinał. Ale nie robił tego, co uczynił Syn Boży, nikogo nie smagał.

Ten stadion, „wy przekłęci domokrażcy”, zbudowany został z gruzów Warszawy, z kamieni, cegieł, na których była jeszcze

krw bohaterów powstania przeciwko Niemcom, krew tysięcy niewinnych mieszkańców miasta, dzieci, kobiet, starców, którzy jako żywa tarcza pędzeni byli przed niemieckimi czołgami albo zostali zmasakrowani jako zakładnicy. „Wy rzeźmieszki! Wy oszuści!” Ten stadion nie powstał jednak z gruzów tylko na pamiątkę owego wołającego o pomstę do nieba barbarzyństwa, ale także jako budowla przyszłości: naród ofiar i naród morderców, zwycięzcy i pokonani, jeszcze niedawno śmiertelni wrogowie, mieli w tej... tej świątyni grać ze sobą, grać przeciwko sobie, ale pokojowo! Mieli tutaj grać i dowodzić, że ludzie mogą się ze sobą mierzyć, nawet ze sobą walczyć, nie zabijając się nawzajem. Miłujcie nieprzyjacioły wasze, nakazał Syn Boży, a to znaczyło przecież także: pokonaj go, jeśli chcesz go pokonać – ale w grze.

– A co – wołał kaznodzieja – co przyciąga tę zgraję handlarzy z Ukrainy i Kaukazu do tego miejsca? Ci ludzie szachrują, sprzedają towar pochodzący ze szmuglu, a nawet pamiątki z najstraszniejszej wojny ludzkości, ordery i sztylety, na których widnieje swastyka!

Czy naprawdę chcę towarzyszyć temu pomyłonemu – zapytał przyjaciel z Wiednia, który od lat mieszkał w Warszawie, a teraz, w czasie długiego spaceru po mieście, zaprowadził mnie przez most Poniatowskiego na wschodni brzeg Wisły i na ten stary stadion, który w tym czasie uchodził za największy bazar nie tylko stolicy Polski, ale całej Europy Wschodniej.

Kaznodzieja nie zwracał na nas uwagi, kiedy szliśmy w niewielkim odstępnie jego śladem przez tłum, zatrzymując się tam, gdzie on się zatrzymywał, idąc dalej, kiedy znów ruszał.

Sto tysięcy ludzi mógł pomieścić Stadion Dziesięciolecia, otwarty dziesięć lat po zakończeniu drugiej wojny światowej na pamiątkę Powstania Warszawskiego, walki polskich armii podziemnych z niemieckim okupantem. Ta niesłychana budowla – wzniesiona z gruzów miasta zrównanego z ziemią przez jednostki Wehrmachtu i SS, miasta, w którym podczas sześćdziesięciu trzech dni powstania prawie dwieście tysięcy Polaków, większość z nich cywile, zostało jako zakładnicy, w walkach ulicznych albo

w odwiecie zastrzelonych, spalonych lub żywcem pogrzebanych – przez ponad trzy dziesięciolecia służyła nie tylko wielkim warszawskim drużynom piłkarskim i lekkoatletom jako arena zmagania, ale także jako scena, na której odbywały się parady, operetkowe demonstracje władzy partii komunistycznej, a nawet jako oprawa mszy polowej polskiego papieża Jana Pawła II.

Z braku pieniędzy pozostawiony na pastwę losu stadion został w końcu wydzierzawiony pewnej spółce handlowej, która ochrzciła owal mianem „Jarmarku Europa” i za niewielką opłatą oddała jako targowisko w użytkowanie drobnym kramarzom i sprzedawcom obnośnym z niemal wszystkich krajów byłego państwa sowieckiego – ale tego deszczowego kwietniowego dnia targowego było to już od dawna historią: handlarze z wszystkich regionów Polski, z Ukrainy, Rosji i Białorusi, z Mołdawii i Gruzji, Czeczenii, Armenii i Kazachstanu, Azerbejdżanu, a nawet z Kirgizji, do tego uchodźcy, Chińczycy, Mongołowie i Wietnamczycy, sprzedawali tu wszystko: od kawy, proszków do prania i podróbek markowych produktów, pirackich kopii nagrań muzycznych czy filmów, poprzez przeschumowane futra sobolowe i papierosy, sprzęt gospodarstwa domowego, tanie narzędzia i kawior, po broń, amunicję i narkotyki, wszystko, na co był popyt i czego gdzie indziej albo w ogóle nie było, albo tylko po wielokrotnie wyższej cenie niż wytargowana na stadionie.

Między rzędami bud na trybunach, gdzie niegdyś entuzjastyczne chóry kibiców reprezentacji narodowej czy dużych klubów jak Legia Warszawa i Polonia Warszawa zdzierały gardła aż do ochrypnięcia, rosły teraz tarnina, pokrzywy i koniczyna. Niegdyś białe, teraz poznaczone rdzą bramki jeszcze stały, ale przelatywał przez nie, niepowstrzymywany przez siatkę, tylko czas.

Kiedy po takim dniu targowym nadchodził wieczór i na pustym stadionie zostawały jedynie odpadki i strzępy papieru, które wiatr pędził na przełaj przez wyblakłe linie boczne i bramkowe oraz wszystkie nieistotne już bariery, po żuźlowych bieżniach i zdziczałym, będącym teraz już tylko grząską łąką boisku, wówczas – powiedział mój przyjaciel – robiło się tu tak bezlud-

nie, jak musiało być chyba na tamtych pustyniach gruzów po stłumieniu Powstania Warszawskiego. Wówczas ten stadion, któremu groziła rozbiórka przed nadchodzącymi mistrzostwami Europy w piłce nożnej, rzeczywiście stawał się pomnikiem, wtedy rzeczywiście ktoś mógł mieć przed oczami niekończącą się procesję umarłych, z których roztrzaskanych, zbombardowanych i wysadzonych w powietrze domów czy mieszkań zbudowano tę arenę, otoczoną o zmierzchu niepojętą, niewybaczalną nieobecnością ludzi.

Kaznodzieja dotarł teraz do pierwszych rzędów i rozpoczął żmudną wspinaczkę pośród straganów, nakrytych przezroczytymi plastikowymi płachtami, z których kapał deszcz. Być może niektórzy z handlarzy znali plotkę, którą przekazał mi przyjaciel, kiedy wspinaliśmy się w ślad za kaznodzieją: Ten mężczyzna to niegroźny pijak, były gracz trzeciego czy czwartego garnituru mającego długą tradycję klubu Legia Warszawa, skrzydłowy napastnik, który ani razu nie przebił się do pierwszych szeregów, ani razu do pierwszej drużyny Legii, a wskutek wypadku tramwajowego, po którym to daremnie odbył pielgrzymkę do Czarnej Madonny w Częstochowie, na dodatek utykał. Kaznodzieja w każdym razie pojawiał się na stadionie tylko w przededniu ważnych świąt kościelnych – ale czyż także Jezus nie wypędził przekupniów i lichwiarzy ze świątyni przed świętem Paschy, i może dopiero tym wzbudził ową wściekłość, która miała go w końcu zaprowadzić na Golgotę, na krzyż?

Może historia tego krzyczącego mężczyzny, który niegdyś jako skrzydłowy napastnik drugiego czy trzeciego składu popularnej drużyny robił sobie wielkie i daremne nadzieje, była tylko anegdotą pasującą do tego miejsca. Ale wypadek, który pewnie pozbawił go radości życia, a w każdym razie ograniczył jego ruchy, musiał się rzeczywiście wydarzyć w przeszłości, mężczyzna bowiem wspinał się po popękanych, rozsadzonych przez kępy trawy betonowych stopniach jedynie z trudem, a przy tym, dysząc i kulejąc, bez ustanku wzywał umarłych, bohaterów i ofiary okrucieństwa, głosząc jako jedyną nadzieję jednak nie niebo, tylko grę jako odbłask raj.

PIES PASTERSKI

Widziałem psa pasterskiego, który zostawił swoje stado, około trzydziestu kóz, w zarośniętych ruinach górskiego miasta Pinary i pognał, skowycząc, w stronę olbrzymiej ściany skalnej, która na zachodzie miasta wznosiła się w wieczorne niebo. Jego szczekanie powróciło echem z ciszy, która od przeszło tysiąca lat zalegała na tych rumowiskach. Po wielu wiekach świetnej egzystencji Pinara została zniszczona przez trzęsienie ziemi i opuszczona przez mieszkańców, stała się miastem ruin, chronionym jedynie przez swoje odosobnienie w poprzeryzanej wąwozami dziczy Taurusu Zachodniego. Tylko wąska kamienista droga prowadziła z urodzajnych dolin Ksantosu w tureckiej prowincji Antalya na te wyżyny.

Przewieszona ściana, ku której popędził owczarek, stała niczym popękana, kilkaset metrów wysokości mierząca tama przeciwko nadciągającemu właśnie frontowi burzowemu i na całej powierzchni była podziurawiona czarnymi otworami niezliczonych grobów skalnych. W tych wykutych w litej skale mieszkaniach zmarłych, które wznosiły się piętrowo w nierównych rzędach, wieczny spokój trwał jednak tylko dopóty, dopóki żywi mogli bronić swoich zmarłych bliskich. Po upływie tej wieczności komory grobowe były plądrowane i stawały się miejscem gniazdowania pustulek. Tam, gdzie niegdyś kunsztownie ciosane, ozdobione płaskorzeźbami i opatrzone inskrypcjami kamienne drzwi oddzielały świat żywych od świata umarłych, ziały teraz aż po zawrotne wysokości wybite przez chciwość otwory, czarne jaskiniowe portale.

Dwa i pół tysiąca lat temu Pinara była jednym z sześciu najpotężniejszych miast Licji, tajemniczego państwa leżącego w cieniu gór Taurus. Według pieśni Homera bohaterowie z Pinary daremnie walczyli z Odyseuszem i Achillesem.

Słyszałem łopotanie na wietrze płacht namiotowych w obozie wojska pod Troją, furkot chorągwi, kiedy pierwsze podmuchy burzy wplątały się w korony sosen wyrastających pomiędzy przewróconymi potężnymi kolumnami. Słyszałem wiatr w rusztowaniu katafalku, na którym spoczywały mary zabitego przez Odyseusza licyjskiego wojownika.

Potem pies pasterski przywołał mnie do rzeczywistości. Jego szczekanie było głośniejsze niż wrzawa mojej armii duchów. Nie odezwał się żaden gwizd, żadne wołanie pasterza, toteż pies gnał przez gąszcz, porastający zburzoną świątynię, zapadły plac targowy i labirynt fundamentów, w stronę skalnej ściany umarłych, jakby odkrył tam w górze jakieś zagrożenie dla swojego stada – i w ten sposób wskazał mi najprostszą drogę z rumowiska do komór grobowych.

Odkąd wszedłem do miasta, szukałem takiej drogi, ale teraz podążyłem za psem na przekór chęci ucieczki. Czy tam w górze czaiło się rzeczywiście jakieś niebezpieczeństwo? Z wahaniem porzuciłem osłonę gąszczu i wyszedłem na wolną przestrzeń piargu spływającego z komór grobowych u podnóża ściany. Ze strumienia kamieni sterczał niczym tonący kamienny statek sarkofag. Na końcu strumienia zobaczyłem psa przed otwartą komorą, ziejącą czarną paszczą. Wparłszy przednie łapy w rzeźbiony próg, szczekał, wręcz ujadał w ciemność przed sobą, jakby odkrył wroga, którego nie miał odwagi zaatakować.

Licyjczycy zawsze chowali swoich zmarłych wysoko nad żywymi, w miejscach wystawionych na światło tak słońca, jak i księżycy, z rozległym widokiem na miasto, na całą krainę, na morze – albo w potężnych sarkofagach spoczywających na monolitycznych blokach i filarach, albo w kunsztownych grobach skalnych, przed którymi świat żywych miał się raz jeszcze zaprezentować w całej okazałości jako zapowiedź, że także dla zmarłych istnieje przyszłość podobna do tej panoramy – w komorach takich jak ta, przed której wejściem owczarek wpadł w rodzaj wściekłego odrętwienia: szczekał i wył, nie ruszając się z miejsca. Jego stado pasło się spokojnie w dolinie, rwąc kępki cienkiej jak włosy trawy rosnącej między pozostałościami kamiennych umocnień, które oparły się

całym pokoleniom wrogów, ale nie biegowi czasu. Niektóre kozy wspinały się przed tymi resztkami na tylne nogi i stały tak, przężując w pozycji pionowej, oparte o popękane mury jak oblegający miasto najeźdźcy, zamienieni przez rozgniewanych bogów w zwierzęta, a potem podążały za oddalającym się stadem, stopniowo przenoszącym się z wyżyn akropolu do miasta u jego podnóża i dalej, w okolice wielkiego teatru, w którego długich rzędach sterczały już tylko kolczaste zarośla i na którego scenie jedynym głosem, jaki dał się słyszeć, był jazgot szalejącego psa pasterskiego.

Pierwsze ciężkie krople deszczu towarzyszącego burzy zaczęły zraszać najeżone ostrymi kantami rumowisko, którym wspinałem się śladem psa. Dopiero ten wodny deseń uzmysłowił mi, że pada deszcz. Chociaż burza, której głuche grzmoty słyszeć było jeszcze daleko, sprowadzała po ścianie w dół powietrze, lodowate jak na ten wczesnoletni wieczór, to pot spływał mi z czoła i policzków. Chciałem zawrócić, pragnąłem zawrócić – a jednak wspinałem się, potykając, coraz wyżej i wyżej.

Ściana umarłych wznosiła się teraz ponuro przede mną, najwyższe położone rzędy komór grobowych ginęły już w smugach mgły i deszczu, ale kiedy zatrzymałem się, żeby zaczerpnąć tchu, i obejrzałem za siebie, widziałem wciąż jeszcze ów jasny, dodający otuchy świat przeznaczony dla oczu umarłych: miasto, piękne miasto, które śmiałymi tarasami opadało ku dolinom Ksantosu, za nimi ciemnozielone, zalesione wzgórza, na wschodzie ponownie wypiętrzające się w dalekie łańcuchy górskie, których połyskujące, nietknięte jeszcze przez front burzowy pola śniegowe odbijały światło wieczornego słońca ku krainie cieni Pinary.

Z obrazem Licji jako krainy rajskiego spokoju za plecami dotarłem wreszcie do psa, do splądrowanej komory grobowej. Pies odnotował moją obecność szybkim spojrzeniem w bok i nagle przestał szczekać, jakby spełnił swój obowiązek i wskazał jakiejś istocie, jakieś lękającej się śmierci i dlatego kompetentnej istocie ze świata ludzi, czające się niebezpieczeństwo, więc teraz wolno mu było powrócić do swojego stada.

Wracaj – krzyknąłem w ślad za nim – zostań, do nogi – kiedy pognał strumieniem gruzu w dół, w stronę owej pięknej krainy, w stronę świata żywych. Nie chciałem zostać tu na górze sam, stanąłem jednak przed wejściem do komory grobowej. Szare od deszczu światło padało na trzy kamienne mary, na których powinni spoczywać zmarli, aż jakiś bezimienny bóg każe im wstać i, obdarowanym złożonymi u ich stóp kosztownymi dowodami miłości, pozwoli powrócić do świata żywych.

Widziałem na wyciosanych ze skały marach, na ścianach wyrąbanych w niej nisz i na ich dnie, na którym zmarli mieli postawić swoje pierwsze kroki w drodze powrotnej z krainy cieni, ślady dłuta kamieniarzy, którzy sami pewnie od tysiącleci spali w oczekiwaniu na powrót do życia. Ale cokolwiek doprowadziło owczarka do szału i dało mu powód do lęku o jego stado, nie było przeznaczone dla oczu i uszu ludzi.

Mokry od deszczu i potu stałem przed wysokim, wykutym w skale progiem i wpatrywałem się jak zaczarowany, bez ruchu, jak wcześniej pies pasterski, we wnętrze mrocznego mieszkania zmarłych. Dno niszy, jej ściany, kamienne mary były suche i puste.

Książka dostępna w księgarni

